

Cynobrowe liny

Przyznam się otwarcie, że fenomen frekwencji z 15 października wzbudza więcej mojego niepokoju o polską politykę, niżli satysfakcji z tego, co określono mianem „święta demokracji” – pisze w najnowszym felietonie Jan Rokita

Początkowa scena „Acharniaków” Arystofanesa przedstawia porządnego obywatela ateńskiego Dikajopolisa (czy raczej Prawogrodźca – jak świetnie przekładał jego imię prof. Stefan Srebrny), który w dzień obrad Zgromadzenia właśnie przyszedł o świcie na wzgórze Pnyks. Teraz siedzi tam samotnie na słońcu, pośród kurzu, który wiatr mu dmie w oczy. No i narzeka, a to na niedosyt w jego życiu chwil szczęśliwych, a to na współobywateli, którzy – w przeciwieństwie do niego – ignorują demokratyczny obowiązek rannego stawienia się na Pnyksie, po to by wziąć udział w głosowaniu nad losami kraju. A przy okazji opowiada o ważnym obyczaju ateńskiej demokracji, mającym skutkować zwiększeniem frekwencji głosowania, jako że Ateńczycy sami z siebie wcale nie byli aż tak chętni do udziału w rządzeniu. Mówi tak oto: „Nigdy jednak, odkąd zacząłem się kąpać, kurz nie raził mnie w oczy tak jak dzisiaj. A przecież jest to dzień Zgromadzenia, więc wszyscy powinni tu być już o świcie, a jednak Pnyks jest wciąż pusty. Plotkują na rynku, ślizgając się tu i tam, żeby tylko uniknąć cynobrowej liny”.

Owa pomalowana na jaskrawo cynobrowy kolor lina używana była przez wyznaczonych do tego celu niewolników, którzy w dzień Zgromadzenia wpadali na agorę, aby tych, którzy trwonili tam czas, zamiast iść na Pnyks, łapać na linę, odznaczając w ten sposób cynobrowy ślad na ich odzieniu. A potem władze wyłapywały takich malowańców i obkładały ich grzywną za lekceważenie demokratycznego obowiązku wobec polis. Jak jednak zauważa zgorzkniały Prawogrodziec, raczej nie było trudno „wyślizgać się” na agorze od złapania na cynobrową linę. Teoretycznie, istniał przymus udziału w głosowaniach na Pnyksie, co wynikało z kluczowego dla tamtej epoki przekonania o absolutnej nadrzędności wspólnoty politycznej nad każdym jednostkowym życiem. W dniu Zgromadzenia nakazywano też zamykać sklepy, a nawet zakazywano ruchu na innych ulicach, niżli te które prowadziły na Pnyks. Ale naprawdę rzeczy się miały chyba tak, jak we współczesnej Australii, albo i nawet Belgii: niby istniał demokratyczny przymus, ale jego egzekucja nie była nazbyt rygorystyczna.

Kpiny Arystofanesa z wymuszania frekwencji na głosowaniach przyszły mi na myśl w kontekście polskich ubiegłoniedzielnych wyborów, tyle tylko, że bez arystofanejskiego żartobliwego nastroju. Oto od niedzielnego wieczora wszyscy w Polsce pod niebiosą wychwalają „święto demokracji”, jakim ma być nieznana dotąd w naszym kraju, przeszło siedemdziesięcioprocentowa frekwencja głosowania. Z niebywalej, jak na polskie standardy frekwencji, cieszy się prezydent, który nawoływał do głosowania, bo też nie wypadało mu nawoływać do czegokolwiek innego. Cieszą się biskupi katoliccy, którzy od lat, czego nigdy nie byłem w stanie pojąć i nie pojąłem do dziś dnia, z przejęciem troszczą się, aby rodacy nie zapomnieli o tej najzupełniej świeckiej powinności, nie mającej przecież nic wspólnego ze zbawieniem duszy.

Cieszy się zwycięska centrolewica, co w końcu nie dziwi, skoro dzięki frekwencji udało się jej wykazać kawa na ławę, że w nowoczesnym społeczeństwie postępowy elektorat mieszczański, jak się go tylko uda zmobilizować, ma naturalną przewagę nad prowincją i wsią. A co najbardziej zdumiewające, cieszy się również pokonana prawica, dla której frekwencja stała się gwoździem do trumny, przypieczętowującym utratę władzy. Zwłaszcza radość biskupów katolickich i pobitej prawicy nie daje się wytłumaczyć inaczej, niżli jakąś dziwną polityczną poprawnością, wedle której nie wolno przyznać się do przekonania, iż w masowej mobilizacji do głosowania mogą tkwić spore niebezpieczeństwa.

Przyznam się zatem otwarcie, że fenomen frekwencji z 15 października wzbudza więcej mojego niepokoju o polską politykę, niżli satysfakcji z tego, co określono mianem „święta demokracji”. I to bynajmniej nie z tego powodu, iż wyjątkowa frekwencja przypieczętowała fakt zmiany władzy. Wbrew mobilizacyjnym „narracjom”, jakie w kampanii uprawiali politycy i stojące za nimi media, nigdy nawet nie stanęła mi w głowie myśl, iż wyborcza zmiana władzy jest jakąś tragedią narodową, utratą niepodległości, czy jakimś innym zjawiskiem z gatunku katastrof. I choć od lat sam siebie definiuję jako wyborcę zachowawczego, wybierającego partie i polityków hamujących, a nie przyspieszających rewolucję kulturalną i obyczajową, to nie oczekuję, iż ludzie o moim światopoglądzie będą rządzić zawsze. Mój niepokój wywołany przez frekwencję bierze się stąd tylko, jaką metodą owa frekwencja została wzbudzona. Bo żeby skłonić do głosowania te dodatkowe milionowe rzesze, z natury raczej preferujące plotki albo jakieś uciechy na agorze ponad uciążliwe maszerowanie na Pnyks, użyto u nas wszelkich najbardziej profesjonalnych instrumentów. A te profesjonalne instrumenty mobilizacji mas to: przesada, kłamstwo,

kalumnia, potwarz, psychoza, groźba, resentment, lęk... i Bóg wie co tam jeszcze, z czego najwyższej klasy profesjonaliści poskładali sobie całkiem skuteczne strategie mobilizacyjne.

Niedzielne głosowanie nie ujawnia bynajmniej żadnej jasnej prawdy o naszej wspólnotcie politycznej. Pokazuje niestety, że to właśnie owi profesjonaliści od mobilizowania elektoratów mają rację w swojej skrajnie pesymistycznej wizji tej wspólnoty. To oni bowiem, podążając tropem swego florenckiego mistrza sprzed pięciu wieków, dowiedli, iż naukę i wiedzę o zachowaniu ludzkich mas można z powodzeniem wykorzystać dla uzyskania efektu „demokracji pobudzonej”, o ile taki efekt doraźnie przyda się dla zdobycia władzy przez księcia, któremu akurat teraz służą. A książkę, jak widać to wyraźnie w tych polskich wyborach, owym profesjonalistom coraz chętniej się podporządkowuje. Nie należy jednak tu żywić żadnych złudzeń. Profesjonalizacja strategii mobilizacyjnych sprawia, że przychodzi nam żyć we wspólnotcie, która odśłania nie coraz lepsze, ale coraz bardziej nikczemne oblicze. Gdybym mógł wybierać, to wołałbym mniej spektakularne święto demokracji nieco bardziej sensnej, czy flegmatycznej, ale za to choć ciut bardziej deliberatywnej, niżli huczne święto demokracji pobudzonej, z którego wszyscy się teraz cieszą, bo poprawność nie pozwala im na nic innego.

Sam parałem się swego czasu czynną polityką, więc nie ma we mnie zbytnej naiwności, gdy idzie o moralną naturę naukowych narzędzi mobilizacji mas. Kwintus Tulliusz Cynceron napisał dwadzieścia wieków temu tekst pt. „Commentariolum Petitionis” – bodaj pierwszy podręcznik z tej dziedziny, sumujący doświadczenia kampanii swojego brata Marka Tulliusza, gdy ów ubiegał się o urząd konsula. Jest tam m.in. taka scena, gdy kandydat odwraca się do towarzyszącego mu

orszaku przyjaciół, mówiąc: „A teraz proszę odejście, bo idę na Forum i nie powinniście oglądać rzeczy niegodziwych, jakie tam będę czynić”. Mobilizowanie mas zawsze było w gruncie rzeczy brudną robotą. Tyle tylko, że w erze profesjonalizacji polityki perfekcyjne naukowe narzędzia uczyniły z tej roboty groźny brudny przemysł.

Cynobrowe liny, o których opowiada arystofanejski Prawogrodziec, wydają mi się stokroć mądrzejszym sposobem na zyskanie efektu mobilizacji do głosowania. I to nawet zakładając, że i tak co sprytniejszym uda się „wyślizgnąć” od złapania i bycia odznaczonym cynobrowym śladem na odzieniu. Stary profesor Arend d'Angremond Lijphart dowodził swego czasu w jednym z esejów, iż ateński koncept obowiązkowego głosowania ma znacznie więcej zalet niżli praktycznych i normatywnych wad, jakie mu się zazwyczaj współcześnie przypisuje. A pośród owych zalet na pierwszym miejscu wymieniał ochronę demokracji przed nadmiarem demagogii. W świetle naszych niedzielnych wyborów – taka konkluzja wydaje się oczywistością. Skoro cały najgorszy kampanijny szlam, zaprogramowany przez profesjonalistów, służyć ma właśnie efektowi mobilizacji, no to ten sam efekt uzyskać można środkiem znacznie mniej kosztownym dla jakości wspólnoty, czyli cynobrowymi linami. Prześmiewcze opowiadki Arystofanesa o demokracji ateńskiej mogą się okazać przydatne dla wysiłku choćby niewielkiego uszlachetnienia tej demokracji, w której przychodzi nam żyć współcześnie.

Jan Rokita

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
